
KRÓLESTWO WOLNEGO SŁOWA

TOMASZ JASTRUN

PAWEŁ SOWIŃSKI, *Zakazana książka. Uczestnicy drugiego obiegu 1977–1989*, Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 2012, ss. 367.

Praca Pawła Sowińskiego na temat drugiego obiegu wydawniczego lat 1977–1989 to pierwsze bodaj tak pełne opracowanie zjawiska. Autor zdecydował się pisać jedynie o książkach, a pominąć periodyki. Sztuczny to podział, o czym wie. A i tak miał problem, jak zapanować nad całością ruchu, który był tak obszerny, spontaniczny, bez wyraźnych kształtów, za to radosny, bałaganiarski i pełen emocji.

W książce bardzo potrzebnej i rzetelnie przygotowanej jest wiele informacji, nazwisk, jest też aspekt anegdotyczny, tak wtedy ważny, i próba ocalenia atmosfery. Anegdota jednak zawsze wiele traci wyjęta z kontekstu swego czasu i środowiska. A napięcie, które było w powietrzu, znika między słowami dokumentu. Nie ma na to chyba rady. Nikną też zapachy. Do końca życia będę pamiętał świeży zapach farby drukarskiej.

Pomysł był prosty: ominąć cenzurę. Jak stalowa obręcz trzymała w uścisku nasze myśli i słowa, kontrolowała nawet nekrologi i zaproszenia ślubne. Druk poza cenzurą był jak przedarcie zastony. Wtedy okazało się, że nie jest to stalowa kurtyna, raczej zastona z papieru. Ale za nią mogły być kraty.

W moim domu panowała atmosfera szacunku dla słowa i prawdy. Oboje rodziców to pisarze, ściany okupowane były więc przez półki z książkami. Grały dwie

maszyny do pisania. I pamiętam nieustanne gniewy mego ojca na kłamstwo i cenzurę. Czasami w domu pojawiały się jakieś numery paryskiej „Kultury”, jak ptaki z dalekiego świata. Nie mogłem wtedy wiedzieć, że kiedyś zostanę wieloletnim autorem tego pisma.

Słowo samizdat (sam wydał) usłyszałem po raz pierwszy w Wolnej Europie gdzieś chyba pod koniec lat sześćdziesiątych. W Związku Radzieckim ktoś wpadł na pomysł, by przepisywać teksty ręcznie lub na maszynie. Tam szło się za to do łagru. (U nas w latach siedemdziesiątych system już prawie nie miał kłów i pazurów, ale to nie było pewne, to trzeba było sprawdzić na sobie). Poruszyła mnie ta wiadomość o samizdacie; nie pamiętam dokładnie, który to był rok, pamiętam poruszenie.

Za to dokładnie pamiętam pewien dzień w 1976 r. Odwiedziłem mego przyjaciela, polskiego Japończyka Yoshiho Umedę. Przepisywał na maszynie pierwszy „Komunikat” Komitetu Obrony Robotników. Usiadłem i też zabrałem się do pracy. W kilka miesięcy potem to jednak ja wciągnąłem Yoha do współpracy z NOW-ą. Sprowadzał przez lata z Japonii bezcenne materiały techniczne. Po stanie wojennym zapłacił za to banicją z Polski.

U źródeł mego dzieciństwa jest szum zagłuszarek. Najdonośniej dobiegał z sufitu, ojciec naszej sąsiadki,

korektorki w Państwowym Instytucie Wydawniczym, tysy starzec zwany przez nas „Głuszcem”, przebijał się przez zgiełk. Mój ojciec mocował się z radiem w swoim gabinecie. Czasami widziałem, jak wygraża pięścią zagłuszcaczom. Przez lata zasypiałem kołtysany szumem zagłuszarek. W końcu sam zacząłem słuchać Wolnej Europy. Chyba nie miałem wyjścia.

Kiedy w innej epoce, w 1988 r., udało mi się wyjechać po odbiór Nagrody Kościelskich, mówiłem do kraju z monachijskiej rozgłośni. Czuję poruszenie, jak zawsze, gdy przekracza się granice, nie tylko fizyczne.

W „Tygodniku Kulturalnym”, gdzie pracowałem w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, korektorki szeptały: „oni cenzurują nawet przemówienia I sekretarza PZPR”. Odnotowuję w swoich dziennikach z tamtego czasu zakaz publikowania informacji o poszukiwaniach w Polsce ropy naftowej. 5 lutego 1978 r. zapisałem: „Mam dyżur w drukarni. Wylatuje wymienione w recenzji nazwisko Konwickiego. Cenzura wyrzuca również dane statystyczne dotyczące liczby wojskowych zespołów estradowych. Kto by się spodziewał, że to jest tajemnica państwowa?”. W końcu mnie też wyrzucono z tej pracy po kilku donosach z terenu, że kolportuję druki zakazane.

31 stycznia 1978 r. notuję w dzienniku: „Kilka dni temu oddałem korektę tomu *Bez usprawiedliwienia*. Dzisiaj byłem w PIW-ie w sprawie cenzury. Jak na razie usunięto tylko jeden wiersz *Dłużnicy*, zaczynający się do słów: »0 tylu rzeczach zabroniono pisać«. 5 lutego 1978 r.: „Dynamicznie rozwija się akcja wydawnicza KSS KOR. Niedawno wydano *Kompleks polski* Konwickiego w nakładzie 3 tys. egz. Książka pięknie wydana. Cena 200 zł”. 15 marca 1978 r. krok dalej: „Noc ciężka od gwiazd. Miejscowość za Warszawą, dom w ciemnym lesie, za brudnymi szybkami meble, szare ściany, zapach nędzy. Ludzie w mroku, proste, milczące twarze. Tak bardzo boję się, by nie stała im się jakaś krzywda. Z tym uczuciem, które wypełniło mnie niemal po brzezi, wracam ku światłom Warszawy, której dłonie zdają być przebite kolcem Pałacu Kultury”.

W kilka tygodni później znowu piszę, niezbyt ostrożnie: „Znowu tajna drukarnia. Krzepiący obraz.

Las, gwiazdy, które nadają tej sprawie kosmiczny wymiar”.

Bardziej szczegółowy opis tego miejsca, już z nazwiskami, zamieściłem po 1989 r.: „Pamiętam niewielki domek w Konstancinie, w beczelnej bliskości milicyjnej komendy. Właścicielami byli prości ludzie. Schody prowadziły do obszernej piwnicy. A tam miałem wrażenie, że odbywa się niezwykle misterium. Zdumiewająco hałaśliwa maszyna wyrzucała z siebie brutalnie kartki, charcząc i zacinając się. Doglądał jej mały, nagi, cały w tatuażach Romek Wojciechowski (siedział kiedyś lat piętnaście i napisał dwa, trzy świetne opowiadania znamionujące duży talent – oczywiście niewykorzystany). Pomagał mu X, też wytatuowany. Podobno znalazł go kiedyś Chojcecki na parkowej ławce. X nie posiadał w ogóle dowodu osobistego, ale miał swój rozum. Wąsaty Wiesiek Kęcik, potem główny specjalista od chłopów, odbijał wałkiem na stole kolejne strony. To samo robiła mała dziewczynka, córka gospodarzy, a warkoczyk podskakiwał jej wesoło na plecach. Czarny kot, nie wiadomo, czarny z natury czy od farby, przechadzał się po grubej warstwie papierów pokrywających podłogę. Pamiętam, że na zewnątrz świeciły przenikliwe gwiazdy, i miałem poczucie, że prawo moralne jest we mnie. Wracałem wioząc samochodem zadrukowane kartki, a towarzyszył mi Konrad Bieliński, który nazajutrz rano miał prowadzić zajęcia z matematyki na uniwersytecie”.

Mniej więcej w tym czasie zanotowałem, jak składał się w moim mieszkaniu pierwszą powieść wydaną przez NOW-ą, *Nierzeczywistość* Kazimierza Brandysa: „Był środek złotej gierkowskiej jesieni, ludziom wydawało się, że żyją dostatniej, a Polska rosta..., jak to się zdarza przy wodnej puchlinie. Gościłem u siebie pisarza starszej generacji przybyłego z nadmorskiego miasta. Nietrudno się domyślić, o czym wtedy rozmawialiśmy. Była to jedna z tych rozmów, które w tej części Europy są odbijane na przeklętej kalce od ponad stu lat. Ktoś zapukał do drzwi. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że są to ostatnie chwile, kiedy takie pukanie nie budzi mojego niepokoju, i że dopiero w dziesięć lat później ten dźwięk zno-

wu odzyska swój ciepły wyraz. Do mieszkania wtoczył się mój kolega, brodaty chemik, jakby tańczył z niezwykle otyłą niewiastą. Dźwigał ciężkie paczki, które pomogłem mu zdjąć z ramion. W tych paczkach leżały kartki o formacie A-4 zapisane słabym, ginącym miejscami niebieskim drukiem. Była to powieść Kazimierza Brandysa *Nierzeczywistość* przywieziona do mojego mieszkania w postaci luźnych kartek, by ją tu złożyć i oprawić. Ta bodajże pierwsza powieść wydana w drugim obiegu, została odbita (z trudem) na powielaczu spirytusowym i pachniała tak intensywnie, że można się było upić przy późniejszej lekturze. Z czasem spirytus został zastąpiony przez pastę do prania o nazwie Komfort. I ten zapach kojarzył mi się potem z podziemną książką”.

I na zawsze już będę pamiętał słodki dreszcz emocji, gdy z żoną i małym synkiem przekładaliśmy w pocie czoła dziesiątki tysięcy kartek zadrukowanych ledwie widocznymi literami.

Czytając książkę Pawła Sowińskiego, spotkałem wielu znajomych, niepokojąco liczni zostali już zarzebrani w niepamięci. Z Pawłem Bąkowskim, szefem kolportażu NOW-ej, współpracowałem w latach siedemdziesiątych. Kiedyś jeździliśmy moim samochodem, rozwoząc książki lub papier po naszych magazynach, umiejscowionych zwykle w piwnicach ludzi, których nie dane było mi poznać. Paweł zostawił wtedy w moim wozie gruby notes, pełen informacji na temat sprzedaży książek i Bóg wie jeszcze czego. To też pokazuje, jak wyglądała nasza konspiracja. A może była ona po prostu skrojona na skalę i miarę represji tamtego czasu.

Paweł przez dwa lata ukrywał się w stanie wojennym, ja tylko przez rok, on jednak potem wyemigrował. A mnie bezpieka wielokrotnie namawiała na wyjazd. Odwzajemniałem się im tym samym. A Pawła już jako emigranta spotkałem w 1985 r. w Stanach. Wiózł mnie samochodem spod Nowego Jorku do Bostonu. Ale to z książki Sowińskiego wiem o jego przygodzie związanej z moimi wierszami: „W czerwcu 1982 r. uciekający przed policją Paweł Bąkowski wyskoczył z ruszającego pociągu na stacji Warszawa Stadion – wraz z torbą poezji Tomasza Jastruna *Na skrzyżowaniu Azji i Euro-*

py. Nie miał czasu do stracenia. Pobiegł nad pobliską Wisłę, przedzierał się przez zarośla. Zostawił torbę w krzakach. Wrócił po książki następnego dnia”.

Kto by przypuszczał, że moje wiersze, wtedy jeszcze pisane pod pseudonimem Te Jot, narobią tyle kłopotu. Służby przez lata będą próbowały uwodnić, że jestem autorem tych wierszy. Zniechęcali mnie do pisania i do redagowania pisma „Wezwanie” na wszelkie sposoby, nigdy jednak nie brutalnie. Wyjątkiem może być całonocne przesłuchanie, gdy złapali mnie po roku ukrywania się, w listopadzie 1982 r. Już wtedy wydawało mi się humorystyczne, kiedy powtarzali: „Pana utwory godzą w Polskę Ludową. Zamkniemy pana tak, że nie będzie pan mógł nic pisać”. Pisarz, dziennikarz, nawet poeta mógł doprawdy czuć się wtedy kimś ważnym.

Cała ta konspiracja była szczególna, czasami gęboka, częściej bałaganiarska, a bywało, że nawet pół jawna. (Wyjątkiem będzie rok stanu wojennego). Toczyła się gra z bezpieczeńką na nie do końca ustalonych prawach i regułach. To mogło jednak w każdej chwili się zmienić, i nie myśmy ustalali te reguły. Wszystko działo się w groteskowych dekoracjach Polski Ludowej. Między rozdziałem przed Sierpniem i po stanie wojennym był „karnawał” Solidarności. Wszystko wtedy się ujawniło w formie wybuchu. Był też gnilny rozdział końca lat osiemdziesiątych.

Jeśli w mej pamięci lata siedemdziesiąte mają wiele kolorów, to stan wojenny ma raczej barwę czarną, a lata następne szaro-burą.

Urodzonym w epoce bez cenzury trudno pojąć szczególną wartość prawdy i to, jakie znaczenie miało jej powielanie. W wielkiej ciszy, której pilnowała szczelna cenzura, każda wolna kropla brzmiała jak wystrzał armatni. Stąd lęk ówczesnej władzy przed wolnym słowem. Dlatego nawet zwykła maszyna do pisania bywała przedmiotem represyjnych działań. Losy mojej maszyny marki Continental, zabranej w czasie rewizji, to temat osobny, który zapełniłby sporą część miejsca przeznaczonego na ten tekst. Pod koniec lat osiemdziesiątych próbowałem wielokrotnie ją odzyskać. Przy kolejnej próbie, gdy się zdawało, że jestem już bliski sukcesu, z portierni, gdzie miała na

mnie czekać, zaproszono mnie na wyższe piętra. Od razu miałem złe przeczucia.

Maszyna stała na biurku, pokój był pusty, po chwili wypełnił go swoją kanciastą obecnością płk Krzysztof Majchrowski. Usiadł, kazał mi siadać. Nie usiadłem. Zaczęliśmy patrzeć sobie w oczy. I tak w milczeniu przez wiele minut toczyła się walka na miny. Gombrowicz byłby z tej sceny zadowolony. Pułkownik nie wytrzymał i przerywał milczenie: – Co pan tak patrzy, myśli pan, że wkrótce zamienimy się na miejsce? O, nie będzie tak. Maszynę oddamy, jak podpisze pan oświadczenie, że nie będzie pan na niej pisał utworów godzących w Polskę Ludową.

Coś kiepsko z wami – pomyślałem, nie wiedziałem jednak, że było aż tak kiepsko. Oni też nie wiedzieli. Dopiero gdy powstała „Gazeta Wyborcza”, do jednego z pierwszych numerów napisałem felieton z tezą, że dla mnie wojna trwa nadal, moja maszyna jest ciągle jeńcem na Rakowieckiej. Po interwencji Adama Michnika, co nie było ze mną konsultowane, generał maszynę mi oddał osobiście. A przy okazji kilkadziesiąt książek zabranych podczas rewizji. Wszystko to leżało na wielkim stole w jego wielkim gabinecie.

Od początku niezależnej działalności wydawniczej był problem, jak nazwać to, co robimy. Kiedyś Mirek Chojecki przywłókł nazwę „bibuła”. Pachniała co prawda myszką, ale przyjęła się, chociaż chyba nie zadowoliła się na dobre, mimo że sympatycznie kojarzyła się z Piłsudskim. „Drugi obieg” brzmiał nieco zawile i drugorzędnie. Ale zgadzam się z autorem książki, że ten właśnie termin czas dobrze zweryfikował. Niech więc tak zostanie.

Jarosław Markiewicz, mój przyjaciel, malarz i poeta, w stanie wojennym założył z Wackiem Cholewińskim wydawnictwo Przedświt. Jarka poznałem na progu stanu wojennego, na spotkaniu, jak się potem okazało, założycielskim pisma „Wezwanie”. Nie wiedział, kim jest Sołżenicyn. Buddysta i mistyk, wszedł do redakcji „Wezwania”. Kiedy był problem z wydawaniem tak grubego pisma, stworzył wydawnictwo, również po to, aby opublikować numer 2/3 „naszego pisma”. Taki był to czas niezwykłych przemian ludzi.

Wydawnictwo Przedświt mieściło się w magicznym mieszkaniu Jarka, w starej kamienicy. Do 1989 r. opublikowali setki tytułów książek, w tym wiele tomów wierszy. Liczne książki, jeśli nie większość, na tzw. dojsciach. Drugi obieg w latach osiemdziesiątych korzystał coraz śmielej z usług zdemoralizowanych lub ideowych państwowych drukarzy. Szara strefa w Polsce rozrastała się monstrualnie, a korupcja wyjadała system od środka. Opowieści Jarka o kulisach działalności Przedświtu to rozgałęziona anegdota o niezwyklej grotesce tamtego czasu. Wszystko już gniło, opozycja i władza. (Jaka szkoda, że Jarek nigdy tego nie zapisał).

A nasze gnicie nie było wcale zabawne. Bardzo się tym trapiłem. Pamiętam jakiś konflikt o maszynę drukarską, podarowaną przez zagranicę, byłem tu nieszczęśliwym pośrednikiem. Oddana na przechowanie, została bezczelnie zawłaszczona przez firmę podziemną. Pamiętam nocną wizytę dwóch kolegów, przedstawicieli podziemnego wydawnictwa, którzy zachowywali się jak gangsterzy z innej rodziny. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych było już widać, że podziemie komercjalizuje się, a nawet degeneruje. Jeszcze szybciej jednak następował rozkład państwa. Więc w 1989 r. zwaliliśmy się, mniej lub bardziej bezwładnie, w swoje ramiona. Energii, siły i pomysłu, co robić, wyobraźni, co dalej, brakowało obu stronom.

Myśląc o tamtym czasie, widzę, jak wiele było pięknych odruchów, ile bezinteresowności, co widać szczególnie wyraźnie dzisiaj, kiedy bezinteresowność jest na wymarciu. Był też – szczególnie silny w latach siedemdziesiątych – element towarzyski. Czasami zapewne krzepiliśmy się poczuciem, że jesteśmy lepsi, bardziej odważni. Świat wydawał się czarno-biały, a my byliśmy na pewno po stronie światła. Po latach już wiemy, że to nie było i nie jest takie proste.

Na pewno był to czas szczególnej wagi słowa i prawdy. Wolnego słowa śmiertelnie bała się władza. Tylko dla ludzi pozbawionych wolności prawda jest tak cenna. Było więc wtedy poczucie wagi drugiego obiegu. Nie potrafię zliczyć swoich tajnych spotkań autorskich w mieszkaniach, a także w kościołach, w ich podziemiach, a czasami na ołtarzach.

Książka Pawła Sowińskiego z konieczności wiele osób i aktywności przecza. Nie ma na to rady, czas zawsze redukuje i usuwa miliony szczegółów. I musi to robić autor. Sam ruch był nieuporządkowany i czasami niejasny. To była wojna podjazdowa i partyzancka.

Jej uczestników znanych z imienia i nazwiska nie było tak wielu, więcej bezimiennych. Czy nie powinien więc jeden rozdział zostać pusty, jak grób nieznanego żołnierza? Hołd dla tysięcy bezimiennych bohaterów.

Ta wojna miała swój triumf w sierpniu 1980 r. Klęskę grudnia 1981 r. I okupację stanu wojennego. Potem partyzantkę na wielką skalę. I wyraźny element zmęczenia i korupcji po 1985 r.

Nie udało się autorowi – czy mogło się udać? – odmalować wszystkich kolorów tego ruchu, jego radosnej energii. Tej jednorodności w różnaitości. Nie ma załączków konfliktów, z jakich dzisiaj wyrosła dżungla, która nas dzisiaj tak dzieli. Może warto było spróbować.

Pamiętam, że kiedyś byłem piekielnie ciekaw, jak to jest po tej drugiej stronie. Co oni o nas wiedzą? Po lekturach kilku swoich teczek wiem, że wiedzieli o wiele mniej niż myślałem, jeśli coś wiedzieli, to dzięki agentom. Nie było ich wcale tak wielu. Mój główny donosiciel, filmowiec, mieszkał w Helsinkach, miał fiński paszport, ale był agentem węgierskiej SB. W tajnym lokalu agentury węgierskiej w Warszawie płk Beszdesz spotykał się z moimi aniołami stróżami, by ustalać plany operacyjne agenta „Skrzypka” wobec „Juniora” – taki mi nadali kryptonim. Kiedyś zrobiono tajne przeszukanie mojego mieszkania, a ekipa techniczna zakładała podsłuch. Potem były „operacje kombinowane”, zastawianie pułapek z udziałem urzędników administracji i milicji drogowej. Wiele różnych atrakcji.

Podczas tajnej rewizji w moim mieszkaniu znaleziono odpowiednie miejsce na zainstalowanie podsłuchu. Oto fragment reportażu z mieszkania: „W lokalu figuranta w szeregu miejscach, też w ubikacji – umieszczone są egzemplarze nielegalnych ulotek oraz wycinki z pracy oficjalnej, np. »Trybuny Ludu«. [...] Bezpośrednie zestawienie tych obrazów i haseł

nadaje całości wrogi, dwuznaczny i ośmieszający wydźwięk. [...] Figurant w ten sposób trenuje codziennie i systematycznie swoje odczucia nienawiści do socjalizmu”.

Czytam, jak Urząd szykuje „kombinację operacyjną”: „Celem jest spowodować zatrzymanie figuranta jadącego samochodem i dokonanie dokładnej kontroli stanu technicznego pojazdu. W wypadku braku posiadania dokumentów wykorzystać ten fakt do dialogu operacyjnego z figurantem”. Wyjaśniam: zgubiłem portfel, a jakiś poczcwiwiec wrzucił go do skrzynki pocztowej. I tak SB przejmuje moje dokumenty. I czeka. Mają nadzieję, że będę jeździł bez prawa jazdy. Stąd pomysł „operacji kombinacyjnej” (co za język!). Milicja drogowa bierze w tym udział.

Nie wiedzieli, że jestem chorobliwym legalistą, tylko wobec PRL inaczej mi się porobiło. Próbuję wyrobić nowe dokumenty, teraz wiem, czemu tak długo to trwało. SB blokuje ich wydanie w nadziei, że jednak zmięknę i wsiądę bez nich do samochodu. W końcu dostaję wtórniki dokumentów, a przy okazji znajduje się nagle mój portfel. Wiele to mówi, jak grano na ludzkich słabościach, a to bogaty instrument. Urząd osacza też moich ówczesnych sąsiadów, nareszcie mogę ich teraz bliżej poznać. Kiedy tuż przed Sierpniem jestem na wakacjach z rodziną w Ustce, robią mi tam kilka fotografii. W miarę lektur nagle wyjaśniają się różne dziwne zdarzenia z mego życia, np. jakies osobliwe sytuacje i rewizje na Okęciu.

Czy jednak można to nazwać okrutnymi prześladowaniami? Czas i ulatnianie się emocji każą patrzeć na te „prześladowania” inaczej niż wtedy. Reżim bronił się jak mógł, ale starał się nie stosować środków drastycznych. Tylko czasami coś im się wymykało z rąk.

Wielu znajomych ostrzegało nas wtedy: marnujecie życie, przegracie. W jakimś sensie przegraliśmy. Zawsze przegrywa się z czasem i ze słabościami ludzkiej natury, która uparcie powtarza stare grzechy już w nowych czasach. O wiele bardziej jednak wygraliśmy. Drugi obieg to była wielka przygoda mojej generacji. Tyle emocji, pasji, potu, nadziei, zwątpienia, triumfu, aż w końcu – nie do wiary – udało się! Najpierw na chwilę w 1980 r. Potem w 1989. Pamiętam,

jak nas to przeraziło! Za pierwszym i za drugim razem. Po raz drugi inaczej, jakby ostatecznie...

Drugi obieg w swej wielkiej improwizacji, w niezwykłej fantazji był jakoś bardzo polski, też w tym, co u nas ładne i przekorne. Wierzę w polski gen buntu i przekory. Zawsze uważałem, że powinny powstawać o tym książki i filmy. Dlaczego więc miałem taką trudność, by książkę Sowińskiego czytać i pisać ten tekst? Czy to zawiedziona miłość, złość na nasze obecne podziały, paranoje i konflikty? Wielu ludzi wtedy mi bliskich jest dzisiaj obcych i wrogich, tak jak wtedy byli mi wrodzy nasi śmiertelni wrogowie. I pewnie bywa na odwrót.

Kiedyś pisałem o drugim obiegu zapewne zbyt patetycznie i przesadnie, ale nie wycofuję się z tych słów: nigdzie „na świecie nie było takiego niezwy-

kłego zjawiska, tylu książek i pism wydawanych w konspiracji. Zbudowaliśmy królestwo wolnego słowa. Może to zbyt patetyczne, ale tak czułem i nadal czuję. Czym mamy się chwalić, jak nie tym? Żubr, żurek, Mickiewicz i Szopen, powstanie warszawskie, Solidarność i drugi obieg. Ale my jesteśmy mistrzami świata w niszczeniu swoich mitów, specjalistami od autodestrukcji, tym już bym się nie chwalił. I udało nam się zapaskudzić Solidarność do tego stopnia, że napis, który tak poruszał serca, teraz budzi odruch niesmaku”.

To – jak widać – nie była recenzja książki, ona mówi sama za siebie, ale okruszki mych wspomnień i garść refleksji. Pewnie równie bałaganiarskie jak samo zjawisko. Czas zawsze porządkuje taki bałagan, ale gubi miliony szczegółów. Może coś udało mi się ocalić?